

– na mój prywatny użytek – Claudio Monteverdi (1567-1643) tworzący na przełomie renesansu i baroku (z mocniejszym zaakcentowaniem tego drugiego okresu) i najzdolniejszy z synów Johanna Sebastiana Bacha, Carl Philipp Emanuel Bach (1714-1788), w którego twórczości pobrzmiewa już klasycyzm.

Wspominam o baroku i Johannie Sebastianie Bachu, uważanym przez bardzo wielu za najwybitniejszego kompozytora tej epoki, gdyż ciśnie się na papier pytanie: czy ów Bach należał do tych nielicznych, wręcz bardzo nielicznych, którym dane było słyszeć muzykę niebiańską (a nawet jej słuchać)? Nic na ten temat nie wiemy. Choćby dlatego, że nie dysponujemy jego zapiskami na ten temat. A ten brak niczego nie rozstrzyga, gdyż zachowało się niewiele notatek osobistych autora m. in. „Koncertów brandenburskich” (podobnie zresztą, jak nie zachowały się partytury wielu jego utworów). Nie można więc wykluczyć tego, że muzykę płynącą z nieba słyszał, tak jak słyszał ją Pitagoras. A jeśli tak było, to nie mogła ona nie mieć wpływu na to, co tworzył. Był nazbyt wrażliwy muzycznie, aby mogło być inaczej.



Fot. Andrzej Dębkowski

Doskonałym przykładem Bachowskiej muzycznej niezwykłości jest, moim zdaniem, „Sztuka fugi”, utwór przeznaczony na nieokreślone instrumenty (prawdopodobnie klawiszowe). Ale na mnie niezmiennie największe wrażenie robi jego wykonanie na wiolonczelach, skrzypcach i klawesynach.

Świadomość tego, że ma się do czynienia z ostatnią kompozycją Johanna Sebastiana, i że w trakcie jej tworzenia zmarł, sprawia, iż „Sztuka fugi” nabiera szczególnego charakteru – kieruje myśli nie tylko ku sprawom ostatecznym (to jest oczywiste), ale również ku bezgranicznemu ogromowi Wszechświata.

Na słowie: „Wszechświata”, prawdopodobnie szkic ten bym zakończył. Ale usłyszałem po raz pierwszy – a w przypadki od dawna nie wierzę – utwór współczesnego kompozytora Joepa Franssensa. Na początku moją uwagę przykuł tytuł tej kompozycji wykonywanej przez chór mieszany i orkiestrę smyczkową – „Harmonia sfer”. Ale tytuł nie musi o niczym przesądzać, niczego interpretować. Istotne w tym wypadku jest to, że obszerne fragmenty tego utworu, zwłaszcza orkiestrowe, idealnie wpasowują się w to, jak wyobrażam sobie muzykę Kosmosu. A może nie tyle wpasowują się, co owo wyobrażenie wręcz kształtują. Jest w niej monumentalność (nie towarzyszy jej, na szczęście, patos). Nie przytłacza ona jednak słuchacza. Natomiast jest jej istotnym składnikiem – wyraża ogrom Kosmosu.

„Harmonia sfer” nie jest muzycznym tłem dla wyobrażeń na temat Wszechświata. Jest czymś więcej...

Znikomość odbioru muzyki będącej rezultatem ruchu ciał w Kosmosie, jest faktem. Słuchali/słuchają jej tylko wybrańcy (cóż, nie należą do nich). Mając na uwadze, praktycznie niesłyszalność tej muzyki, jak i wymienione powyżej przykłady utworów, moim zdaniem, czerpiących z niej, a może będących jej cieniem, chciałbym przytoczyć pewną anegdotę. Wprawdzie mowa jest w niej o rysowaniu, ale istotne jest przesłanie:

- Co tam rysujesz?
- Boga.
- Ale przecież nikt nie wie, jak On wygląda.
- Dowiedzą się, jak skończyć.

Siedząc wieczorem przy biurku widzę za oknem ścianę ciemnego i rozległego parku. Ponad nią – rząd świateł na najwyższych piętrach wysokich budynków usytuowanych za parkiem. Nieco bardziej na zachód, spośród drzew wyrasta oświetlony pylon wielkiego mostu. A nad tym wszystkim rozpościera się niebo. Jest ono permanentnie zanieczyszczone, więc nie widać na nim kosmicznych instrumentów bądź tego jednego, za to ogromnego. Ale ich struny dźwięczą. Wiem o tym...

* Gwiazdy stałe – historyczna i zbiorowa nazwa obiektów niebieskich, które dla obserwatora ziemskiego, nie posiadającego żadnym przyrządem astronomicznym, nie zmieniają położenia względem siebie na sferze niebieskiej (tworzą m. in. gwiazdozbiory).

** Antychton (zwany również Przeciwnością bądź Antyziemią) – hipotetyczne ciało niebieskie mające obiegać ogniste wnętrze Kosmosu w ciągu jednej doby, analogicznie jak Ziemia, lecz na innej orbicie, bliższej owego centrum; poruszając się symetrycznie w stosunku do Ziemi.

Słońce według tej koncepcji obiegało „centralny ogień”, tak jak inne ciała niebieskie, w tym planety.

*** W: *Muzyka w ogrodzie – ogród w muzyce*, pod red. Sławomiry Żerańskiej-Kominek, Gdańsk 2010.



Fot. Andrzej Dębkowski

Janusz Szot

A jednak

Pan A. mieszkał na anonimowym osiedlu, w anonimowym bloku, anonimowym mieszkaniu. Był nie wysoki, nie niski, nie gruby, nie szczupły, nie łysy, nie rudy. Nie miał zęba, nie nosił okularów, nie utykał na nogę. Ubrał się w ciucholandach. Był przeciętnym, niczym niewyróżniającym się mieszkańcem osiedla.

Do pracy chodził na siódmą rano, na pierwszą zmianę. Po drodze do autobusu kupował w kiosku zawsze trzy dzienniki poranne. Jeden był wydawany przez lewicową partię, drugi przez prawicę, a trzeci przez rządzących. Pan A. bardzo interesował się polityką, co skrzętnie ukrywał przed kolegami w pracy. Widział jak wielcy przyjaciele na tle różnicy poglądów przestawali nimi być. Po czym biegł do autobusu wsiadając ostatnimi drzwiami, zawsze siadał na końcu. Przejazd do fabryki trwał jakieś dwadzieścia minut. W tym czasie dosypiał. Przytrafiało mu się, tak twarzą zasnąć, że na końcowym przystanku budził go kolega. Pracował na taśmie, gdzie składał jakieś części, które dalej były montowane. Zdarzało mu się, że część wypadła mu z ręki, wtedy brał kolejną i montował. Po zamontowaniu dręczyły go wyrzuty, dlatego nie wrócił do pierwszej części, bo pewnie jest jej przykro, że ją odrzucił. Wierzył, że martwe przedmioty też mają uczucia. Do końca sam nie wiedział, do czego te przedmioty miały służyć. Wykonywał pracę monotonną i niezajmującą, ale wcale się tym nie przejmował. Starał się być sumiennym i obowiązkowym. Po pracy szedł na obiad do baru szybkiej obsługi. Z gotowania najlepiej mu wychodziło podlewanie kwiatków. Następnie wracał do swojego dwupokojowego mieszkania na ósmym piętrze. Po drodze czasami spotykał sąsiadkę, panią Łodzię, z którą zamieniał tylko parę zdań, a to z powodu swojej nieśmiałości do kobiet.

Mieszkał sam, nie dlatego, że był gejem czy też nie lubił kobiet, po prostu bardzo się przy nich peszył i stawał się nieśmiały. Ta nieśmiałość potem przerodziła się w traumę. A zaczęło się w dzieciństwie, kiedy to matka, gdy był mały, myła go w miednicy w kuchni. Wieczorem przychodziły sąsiadki na baję, rozsiadały się, a on stał nagi przed nimi. Zawsze mówiły: jak ty urosłeś, jaki jesteś już duży. Tak mówiły przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj, co go najpierw rozśmieszało – bo jak można przez jedną noc urosnąć tak szybko, żeby było to widać już na drugi dzień. Potem to go zaczęło denerwować, bo czuł, że staje się powoli mężczyzną, a mając już dziesięć lat matka nadal go myła przy sąsiadkach. Postanowił, więc z tym skończyć i pewnego wieczoru, gdy matka przygotowała już miednicę do kąpieli i wszystkie sąsiadki już siedziały na swoich miejscach jak w łóżach, wyłał całą zawartość miednicy na nogi sąsiadek i tak skończyło się wieczorne przedstawienie pod tytułem „myjemy małego”.

W tym samym bloku i tej samej klatce mieszkała pani Łódzia, która miała lokal piętrowy

(Dokończenie na stronie 10)